

JOANNA PAPUZIŃSKA

**Nasza mama
czarodziejka**

JOANNA PAPUZIŃSKA

Nasza mama czarodziejka

JAK NASZA MAMA ODCZAROWAŁA WIELKOLUDA

Pośrodku naszego miasta jest park. Pośrodku parku — zjeżdżalnia, drabinki i boisko do grania w piłkę. Tam zawsze chodzimy się bawić.

Aż tu nie wiadomo skąd zjawił się kiedyś w mieście wielkolud. Od razu zajął cały park dla siebie. Na bramie wywiesił tablicę:

„Nikommu nie wolno tu wchodzić, choćby nie wiem co”.

Całymi dniami wylegiwał się na trawnikach, a wszystkie dzieci musiały bawić się na ulicy.

Któregoś dnia nasz najmłodszy brat rzucił piłkę tak mocno, że przeleciała przez ogrodzenie i wpadła do parku. Wielkolud złapał ją i nie chciał nam oddać. Wróciliśmy do domu z płaczem.

Wtedy nasza mama wpadła w złość.

— No, nie — powiedziała — ja już dłużej tego znosić nie będę!

I poszła do parku.

Wszyscy, nawet dorośli panowie, bali się tego wielkoluda. Ale nasza mama — nie. Podeszła do niego bliżej i zawołała:

— Nie pozwalam dokuczać małemu dziecku!

A ponieważ zobaczyła, że wielkolud ma kurtkę rozerwaną na plecach, powiedziała jeszcze:

— Taki duży, a wygląda jak obdartus! Jak panu nie wstyd! Proszę zaczekać, wezmę igłę z nitką i zaszyję dziurę!

Bo naszą mamę okropnie denerwuje, kiedy ktoś jest nieporządnie ubrany. Więc posłała nas po igłę i nici, przystawiła do pleców wielkoluda drabinę ogrodniczą i zaczęła mu cerować kurtkę.

Szyła, szyla, aż nagle drabina zachybotowała się i nasza mama niechcący ukuła wielkoluda igłą.

— O, przepraszam — powiedziała, bo wielkolud syknął.

Ale wielkolud syczał dalej. Mama zobaczyła, że przez dziurkę zrobioną igłą powietrze ucieka z niego jak z przedziurawionej opony. Kurczył się i kurczył, a po pięciu minutach stał się zwyczajnym chłopakiem — mniej więcej takim jak ja.

— Bardzo dziękuję! — powiedział do mamy. — Pani mnie odczarowała! Ja byłem bardzo zarozumiałym chłopcem i ciągle chodziłem nadęty. Zdawało mi się, że jestem najmądrzejszy, najpiękniejszy i najważniejszy na świecie. Od tego nadymania robiłem się coraz większy i większy, aż w końcu stałem się wielkoludem. Z początku podobało mi się to nawet, bo byłem największy i najsilniejszy. Ale co z tego? Nikt mnie nie lubił, nikt nie chciał się ze mną bawić. Teraz wiem, że lepiej być zwyczajnym chłopcem i nie nadymać się. Mogę wrócić do domu. Do widzenia! A tutaj jest piłeczka!

I znów w naszym mieście stało się wesoło i bezpiecznie jak zawsze. Znów mogliśmy spędzać całe dnie w parku. Ale od tej pory nasza mama boi się, żeby któryś z nas nie zamieniło się w wielkoluda.

Dlatego ma zawsze naszykowaną miseczkę z mydłem i słomką do puszczenia baniek. Gdy tylko któryś z nas zacznie sobie myśleć, że jest „naj... naj... naj...” i nadymać się — mama daje mu słomkę i mówi:

— Masz, popuszczaj sobie trochę baniek mydlanych. To ci dobrze zrobi, wydmuchasz z siebie całą zarozumiałość. Bo zdaje mi się, że jesteś za bardzo nadęty!

JAK NASZA MAMA ZREPEROWAŁA KSIĘŻYC

Mama opowiadała potem, że obudziła się w nocy, bo księżyc świecił jej prosto w twarz. Wstała z łóżka, aby zasłonić okno. I wtedy usłyszała, że ktoś pochlipuje na dworze. Więc wyjrzała oknem, ciekawa, co tam się dzieje. I zobaczyła, że księżyc świeci na niebie z bardzo smutną miną, a po brodzie osłoniętej małą, białą chmurką płyną mu łzy.

— Co ci się stało? — spytała nasza mama. — Dlaczego płaczesz?

— Buuuuu!... — rozplakał się wtedy księżyc na cały głos. — Chciałem zobaczyć, jak wygląda z bliska wielkie miasto, spuściłem się na dół, zaczepiłem o wysoką wieżę i obtłukłem sobie rożek!

Księżyc odsłonił białą chmurkę i mama zobaczyła, że ma odtrącony dolny róg. Wyglądał zupełnie jak nadłamany rogalik.

— Co to będzie! — lamentował księżyc. — Kiedy zrobię się znów okrągły, będę wyglądał jak plasterk sera nadgryziony przez myszy! Wszyscy mnie wyśmieją!

— Cicho — powiedziała mu mama. — Cicho, bo pobudzisz dzieci. Chodź tu na balkon, połóż się na leżaku i poświęć mi, a ja spróbuję wymyślić jakąś radę na twoje zmartwienie.

Księżyc podpłynął do balkonu i ułożył się ostrożnie na leżaku. A mama założyła szlafrok, pantofle i poszła do kuchni. Cichutko wyciągnęła stolnicę, mąkę, jaja, śmietanę i zagniotła wielki kawał żółciutkiego ciasta. Z tego ciasta ulepiła rożek, taki jakiego brakowało księżycowi.

— Siedź teraz spokojnie — powiedziała — to ci przyprawię ten twój nieszczęsny rożek.

Okleiła mama księżycowi brodę ciastem, równiutko i wylepiła taki sam rożek, jak ten, co się obtłukł. Potem wzięła jeszcze parę skórek pomarańczowych i skórkami, jak plastrzem, przylepiła ciasto do księżycy.

— Gotowe! — powiedziała. — Za kilka dni rożek ci przyrośnie i będziesz mógł te plasterki wyrzucić. Ale pamiętaj, na drugi raz nie bądź gapą, omijaj sterczące dachy i wysokie wieże. Przecież mogłeś się rozbić na kawałki!

JAK NASZA MAMA OBRONIŁA STATEK PRZED BURZĄ

Kiedy byliśmy na wakacjach nad morzem, poznaliśmy rybaków, którzy pływali kutrem rybackim i łowili ryby.

I mama, i my oczywiście też — bardzo chcieliśmy popływać takim kutrem. Kiedyś mamie udało się uprosić jakoś rybaków i zabrali nas z sobą.

Weszliśmy na pokład, motor zawarczał i kuter odbił od brzegu. A potem oddalał się od niego coraz bardziej i wkrótce nie było już widać lądu, tylko morze i morze. Był piękny dzień. Wszyscy zamykaliśmy oczy i wystawialiśmy twarze do słońca, żeby się opalić.

Pewnie dlatego nie zwróciliśmy uwagi na małą, ciemną chmurkę, która pokazała się na niebie. Zauważyli ją za to rybacy. Zaczęli zbierać się na pokładzie i pokazywać sobie chmurkę palcami.

Potem na pokład wyszedł kapitan kutra. Gdy pokazano mu chmurkę, bardzo się zaniepokoił.

— Ta wstrętna chmurka — powiedział — bardzo mi się nie podoba! Żeby tylko nie było przez nią nieszczęścia!

— Dlaczego? — spytała mama. — Co komu może szkodzić taka mała chmurka?

— Mała — odrzekł kapitan — ale czarna. Z ciemnej, brudnej chmurki robi się potem chmurzysko na całe niebo i burza na morzu. A kiedy jest burza na morzu, nie zawsze takim statkom jak nasz udaje się cało i zdrowo powrócić do portu.

— A czy myśli pan, że gdyby chmurka była biała, to nie byłaby taka groźna?

— No pewnie! — krzyknął kapitan. — Mała, biała chmurka jest zupełnie nieszkodliwa. Ale ten brudas — to co innego.

Obłok

— To trzeba uprać brudas! — zawołała nasza mama. — Mogłabym się tym zająć, tylko niech panowie pomogą mi ją złapać, zanim urosnie zbyt duża. Najlepiej chyba będzie schwytać ją siecią.

Rybaczy zarzucili więc sieć na niebo i złapali chmurkę. Teraz wszyscy ciągnęliśmy się z całej siły na dół, aż wreszcie ściągnęliśmy ją na pokład. A mama stała już nad olbrzymią balią, pełną spienionych mydlin.

Wępchnęła chmurkę do balii razem z siecią. Dopóty wygniatała ją i tarła i dosypywała proszku do prania, dopóki mydliny nie stały się zupełnie białe.

— Teraz cię wypłuczemy, moja droga — powiedziała do chmurki.

Rybaczy chwycili sieć i zanurzyli ją w morskiej wodzie.

— Porządnie płuczcie! — komenderowała mama. — Chlup, chlup! W górę i na dół! O, tak, wystarczy!

Sieć wyciągnięto na pokład. Mama wycisnęła chmurkę z wody i roztrzepała ją, aby stała się puszysta. Robiła tak zawsze, gdy prała nasze sweterki.

— No — powiedziała mama do chmurki — widzisz teraz, że możesz być prawdziwą ozdobą nieba, a nie postrachem marynarzy.

I wypuściła chmurkę na wolność.

Mała, wilgotna jeszcze chmurka uniosła się do góry jak balonik napełniony gazem. Wróciła, teraz już biała jak kłaczek waty, na swoje dawne miejsce na słonecznym niebie. A my mogliśmy bez obawy płynąć dalej przez morze.

JAK NASZA MAMA HODOWAŁA POTWORA

Siedzieliśmy przy kolacji, ale było jeszcze widno, bo to się stało w sierpniu.

I nagle usłyszeliśmy jakieś łomoty i straszne wrzaski. A potem jakby słoniowy tętent. A potem złamał się płotek i do ogródka wpadł jakiś nieznamy zwierz, wielki prawie jak nasz dom. Podbiegł do ściany i przytulił się do niej, jakby chciał się ukryć. Swoją ogromniastą, żółtawą łeb wsadził przez otwarte okno do naszej kuchni i położył na stole. Trząśił się cały ze strachu. I miał się czego bać, bo za nim leciała gromada ludzi z kijami, drągami i kamieniami.

— Smok! Smok! — wrzeszczeli oni. — Zabić go! Zastrzelić!

Wśród tych ludzi kręcił się także nasz pan od przyrody. Wyrwał im z ręki kije. Coś tłumaczył, ale mało kto go słuchał. Jakiś duży chłopak zamierzył się kamieniem prosto w łeb biednego, przestraszonego zwierza.

— Mamo, to gad przedpotopowy? — wyszeptał nasz najstarszy brat.

— Mamo, nie daj go zabić! — wrzasnął nasz najmłodszy brat.

I wtedy nasza mama wybiegła na ganek. Okazało się, że kiedy potrzeba, nasza mama umie krzyczeć głośniejsze niż najpotężniejszy głośnik uliczny.

— Łobuzy! — zawołała nasza mama. — Zabijać im się zachciało. Zrobił wam jaką krzywdę czy co? Nie słyszeliście o ochronie przyrody? To nie przyroda! Zostawcie go w spokoju! A zresztą to jest mój ogródek i proszę mi się tu nie kręcić!

Wszyscy jakoś ucichli. Więc nasz pan od przyrody wysunął się z tłumu i powiedział tak:

— Słuchajcie, ludzie! Takie zwierzęta jak to — gady przedpotopowe — żyły bardzo dawno na świecie. Nazywały się dinozaury. Żywiły się roślinami, nikomu nie robiły krzywdy. I bardzo dawno wszystkie wyginęły, teraz nie ma już ich wcale. Nie mam pojęcia, jakim cudem ten jeden znalazł się nagle w naszym mieście, ale skoro już jest, nie możemy pozwolić, żeby zginął. Tę sprawę muszą zbadać uczeni przyrodnicy. Żywy dinozaur! Taka okazja zdarza się raz na sto tysięcy lat! Zaraz idę zadzwonić w tej sprawie do Warszawy!

I stało się tak, że kiedy pan skończył mówić, w ogródku nie było już prawie nikogo. Bo wszyscy się zawstydzili i poszli do domów. Pan pobiegł na pocztę do telefonu.

A nasza mama już stała przy oknie w kuchni i karmiła dinozaura sałatą.

— Biedaczku — mówiła do niego — jeszcze się trzęsiesz ze strachu! Nie bój się, nie damy cię skrzywdzić.

A on zjadał sto siedemnastą główkę sałaty i lypał na mamę swoimi małymi pocziwymi oczkami.

Mieszkał u nas przez trzy dni. Mama nazwała go Kubusiem. Był bardzo spokojny, tylko jadł okropnie dużo i gdyby nie to, że wszystkie dzieci z naszej ulicy znosiły dla niego trawę i gałęzie, szybko zabrakłoby dla niego jedzenia.

— Czy nie przesadzasz, Marysiu? — pytał tata po powrocie do domu. — Wyrwałś dla tego zwierzaka całą salatę z ogródka!

— O, nie szkodzi! — mówiła mama. — Taka okazja trafia się raz na sto tysięcy lat. Obejdziemy się bez salaty.

A czwartego dnia przed nasz dom zajeżdżała ogromna ciężarówka, żeby zabrać Kubusia do specjalnego pomieszczenia, jakie zostało dla niego przygotowane w zoo. Było nam go szkoda, ale wiedzieliśmy, że tak będzie dla niego najlepiej. Tylko Kubus widocznie myślał inaczej, bo nie dał się w ogóle załadować na samochód. Wlazł tam dopiero wtedy, kiedy mama go zawołała, a panowie przyrodnicy zaczęli mamę prosić, żeby odwiozła z nimi Kubusia, bo może być w drodze niespokojny. No i mama pojechała.

Wróciła na drugi dzień, powiedziała, że Kubus ma tam, gdzie zamieszkał, dużo miejsca na spacer i jedzenia pod dostatkiem. Tylko że nie nazywa się Kubus, a dinozaur z Makowic. Bo nasze miasto nazywa się Makowice, a on stąd pochodzi.

JAK NASZA MAMA SZUKAŁA ZŁODZIEJA

Tam, gdzie byliśmy na wakacjach, rosła w polu samotna, rozłożysta sosna. Lubiliśmy siedzieć w cieniu tej sosny i słuchać, jak mama nam czyta.

Ale któregoś dnia, gdyśmy tam przyszli, pod sosną nie było w ogóle cienia, tylko wszędzie słońce i słońce.

— Niestety — zaszumiała sosna na nasze przywitanie — ssskradziono mi cień! Mój najwspanialszy na śśświecie cień! Ratujcie mnie! Szczukajcie, łapcie złodzieja!

Chcieliśmy jak najszybciej biec na pomoc sośnie, ale mama spokojnie siadła sobie pod drzewem i zaczęła wypytywać:

— Kogo podejrzewasz?

— Szszaraki! Przez całą noc harcowały tu jak szalone! Skrzyczałam je, bo nie dawały mi zasnąć. Obraziły się i poszły sobie. Na pewno zabrały ze sobą cień, żeby zrobić mi za złość! Nie mogłam tego zauważyć, bo przecież mój cień widać tylko wtedy, kiedy jest jasno!

— A wczoraj? — pytała mama. — Dzień był pochmurny, twego cienia też nie mogłaś widzieć. Może przychodził tu ktoś wczoraj i zabrał go!

— Ależ wczoraj nie było nikogo, z wyjątkiem babci Grzelakowej — tej, co sprzedaje serki. Schowała się tu przed deszczem. To musiały zrobić szaraki! — upierała się sosna.

— Zobaczmy — powiedziała nasza mama, podnosząc się z trawy. — Chodźmy do babci Grzelakowej!

Babcia Grzelakowa była akurat w domu.

— Dzień dobry — powiedziała nasza mama. — Czy moglibyśmy obejrzeć sobie ten wasz duży koszyk do noszenia serów? Chłopcy mają zamiar upleść taki sam i chcielibyśmy się przyjrzeć, jak jest zrobiony.

— A proszę, weźcie go sobie z sionki. Teraz jest już wprawdzie stary i połamany, ale kiedyś był to naprawdę piękny koszyk.

Mieliśmy bardzo niemądre miny, gdy postawiliśmy babciny koszyk na zalanym słoncem podwórku. Cień, który rzucał koszyk, był cieniem rozłożystej sosny!

Odczepiliśmy cień od koszyka i poszliśmy oddać go sośnie. Zanim przymocowaliśmy go z powrotem, minęło tyle czasu, że trzeba było szybko biec na obiad.

— Skąd to wszystko wiedziałaś, mamu? — wypytywaliśmy po drodze. — Skąd wiedziałaś, że cień jest u babci?

— Już dawno zauważyłam, że koszyk babci Grzelakowej jest w wielu miejscach popękany i połamany. Kiedy sosna powiedziała, że babcia ukryła się pod nią przed deszczem, pomyślałam sobie, że może cień zaczęł się o któryś z pękniętych prętów koszyka i babcia zabrała go ze sobą do domu. Jakoś mi się nie chciało wierzyć w te zajace, które ukradły cień.

— Ojej! — zawołał nasz starszy brat. — Powinnaś, mamu, pracować w policji i tropić prawdziwych złodziei!

Cień

— A dlaczego, mamo — zapytał nasz młodszy brat — powiedziałaś babci nieprawdę, że chcesz zobaczyć koszyk, bo my będziemy pleść taki sam?

— Po pierwsze — odrzekła mama — nie chciałam babci martwić. Gdyby się dowiedziała, że zabrała sośnie cień, byłoby jej przykro. Przecież zrobiła to niechcący. A po drugie — czy to nieprawda, że chcecie zrobić taki sam koszyk dla babci, zamiast tego, który już jest połamany? Wujek na pewno chętnie wam pokaże, jak to się robi!

JAK NASZA MAMA URZĄDZIŁA NAM PODRÓŻ SAMOCHODEM

Na naszej ulicy mieszkali dwaj bracia, których wujek miał samochód. Zazdrościliśmy im okropnie, a oni puszyli się jak pawie, bo to nie byli dobrzy koledzy. Kiedy ten ich wujek przyjeżdżał i zostawiał samochód na ulicy, oni nikomu nie dawali się do niego nawet dotknąć.

— Wynocha! — wołali. — Zabierajcie te brudne łapy! Wysmarujecie szyby.

A potem wsiadali z wujkiem do samochodu i wujek obwoził ich naokoło miasta i wracał, wysadzał ich przed domem i jechał sobie dalej. A nam było okropnie żal.

Któregoś dnia przyszedliśmy do domu z ponurymi minami.

— Mamo, my też chcemy mieć samochód.

— Macie przecież samochód — powiedziała mama zdziwiona.

— Wcale nie mamy! — zawołaliśmy chórem.

— A czy to nie jest samochód? — zapytała mama, wskazując przez okno na podwórze. Stała tam nasza stara drewniana ciężarówka, w której woziliśmy się, kiedy jeszcze byliśmy mali. Czerwona ciężarówka. Ostatnio już nam się wcale nie chciało nią bawić.

Obraziliśmy się o takie żarty.

— E tam, taki samochód... — powiedzieliśmy tylko, ale nasz najmłodszy brat, który wszystko bierze na poważnie, zaczął tłumaczyć mamie:

— My już nie chcemy samochodu do bawienia. My chcemy mieć samochód duży, prawdziwy. Ten jest za mały, żeby można było nim jeździć.

— Za mały? To trzeba go powiększyć. — Mama poszła do pokoju i przyniosła wielką, szklaną popielniczkę tatusia. Tą popielniczką tata pozwalał nam się czasami bawić. Miała ona wypukłe dno i kiedy patrzyło się przez nie, wszystko się powiększało, wszystko się wydawało o wiele większe niż naprawdę.

Mama stanęła przy oknie i patrzyła na podwórko przez popielniczkę. To przysuwała ją blisko do oczu, to odsuwała dalej, aż wreszcie zapytała:

— Taki wam odpowiada?

Wyjrzelśmy przez okno. Nasz czerwony samochód nie był drewnianą zabawką. Powiększył się. Był teraz prawdziwym samochodem. Nie jakąś wielką ciężarówką, oczywiście, ale furgonetką, taką jak nysa czy żuk, tylko że czerwoną. Drewniany kierowca obrócił teraz głowę i patrzył przez ramię na naszą mamę.

— No to lećcie szybko na dół, który tam chce się przejechać! — zawołała mama.

Zadudniło na schodach i już byliśmy na podwórku. Ja mocowałem się z kłapą, mały już gramolił się do środka, a nasz najstarszy brat wybiegł za furtkę i zaczął z całej siły gwizdać na palcach. Zbiegli się już wszyscy nasi najlepsi koledzy. Gdy zobaczyli gotową do odjazdu furgonetkę, tak się zdziwili, że nie mogli powiedzieć ani słowa.

Nasz najmłodszy brat stał już na platformie i wrzeszczał:

— Nic nie gadać! Nic nie gadać, tylko wsiadać!

Kiedy wszyscy siedzieliśmy w środku, mama kiwnęła głową drewnianemu kierowcy. Samochód ruszył. Przez pół godziny woził nas po uliczkach. Było wspaniale! Samochód pędził naprzód, drzewa przydrożne w tył, motor warczał, wiatr dmuchał, a nasz najmłodszy brat wyśpiewywał wniebogłosy z radości.

Kiedy zajechaliśmy znów na podwórze, nasza mama stała w oknie i wciąż patrzyła na samochód poprzez popielnicę.

— Nareszcie! — odetchnęła. — Już mi zupełnie zdrętwiały ręce.

Odstawiła popielniczkę i nasz samochód w tej sekundzie stał się taki sam mały, jak był przedtem.

— Ciąg dalszy nastąpi jutro! — zawołała mama i poszła kończyć obiad.

JAK NASZA MAMA RATOWAŁA DZWONNICĘ

Największą ozdobą naszego miasta była drewniana dzwonnica, która miała już kilkaset lat. Trochę skrzypiała ze starości podczas dużych wiatrów. Lecz była taka piękna, że każdy, kto przyjeżdżał odwiedzić nasze miasto, oglądał ją i podziwiał. A potem, kiedy już wrócił do swojego domu — chwalił się, że widział najstarszą i najładniejszą w Polsce drewnianą dzwonnice.

Dzwonnica była już zniszczona i ludzie mówili, że któregoś dnia może się zawalić. Więc tego roku na wiosnę postawiono rusztowania, żeby dzwonnice wyremontować — na miejsce zepsutych dachówek powstawiać nowe, załatać dziury w schodach i w ścianach.

Lecz zanim jeszcze robotnicy wzięli się do pracy, zaczął wiać wiatr. Najpierw zwyczajny. Potem silny. A potem zerwał się prawdziwy huragan.

Wracaliśmy właśnie z mamą ze sklepu. Wiatr dmuchał w plecy i poganiał nas tak, że musieliśmy prawie biec. Weszliśmy do bramy, gdzie już stała grupka ludzi. Wszyscy patrzyli z niepokojem na dzwonnice. Trzeszczała żałośnie za każdym razem, kiedy uderzał w nią wiatr.

— Nie przetrzyma tej wichury — powiedział pan inżynier od remontów. — Wiatr pozrywa wszystkie dachówki. Gdy spadnie deszcz, runą przegniłe schody i cała dzwonnica zawali się! Nic już nie można poradzić. Gdyby ktoś wszedł na górę i chciał umocnić dach, poraniłyby go spadające dachówki i belki. Przywieźliśmy samochód strażacki, żeby zarzucić na dach umacniającą linę. Ale co z tego?

Nikt nie wdrapie się na drabinę przy takim wietrze. Mógłby spaść! A zresztą jedna lina nic tu nie pomoże, bo nie przytrzyma pojedynczych dachówek. Trudno, przepadło! Trzeba pogodzić się z tym, że nie będziemy mieli dzwonnicy.

Na pusty plac spadały z hałasem ozdobne dachówki i roztrzaskiwały się na bruku. Przykro było na to patrzeć.

— Ludzie — zawołał ktoś — idźcie lepiej do domów, tu i tak nic nie można pomóc!

— Rzeczywiście — powiedziała nasza mama do nas. — Biegnijcie prędko do domu. Ale jeszcze prędzej wracajcie i przynieście te najmocniejsze czerwone nici. Wszystkie, jakie są! I szydełko, i druty. A ty — zwróciła się do najstarszego brata — przynieś też swój latawiec.

Pobiegliśmy i wróciliśmy po chwili. Wtedy mama przywiązała do latawca mocną, czerwoną nitkę.

— Musisz teraz — powiedziała do naszego najstarszego brata — wypuścić latawiec tak, aby czerwona nitka zaczęła o dach dzwonnicy. Kiedy to się stanie, ściągnij latawiec z powrotem na dół.

Trzy razy obiegał nasz najstarszy brat rynek dookoła, aż wreszcie zahaczył czerwoną nitką o dach dzwonnicy. Wtedy ściągnął latawiec na ziemię. Namęczył się, bo wiatr wciąż porywał latawiec do góry, wysoko. Ale w końcu — udało mu się. Oddał mamie koniuszek nitki.

Wtedy w rękę mamy zamigotały druty, prędko, prędziutko. Czerwona nitka zaczęła zmieniać się w mocną, gęstą siateczkę. A każde nowo zrobione oczko mama podciągała do góry jakoś tak zgrabnie, że bieгло po nitce i zatrzymywało się dopiero na dachu dzwonnicy.

Wiatr z wściekłością szarpał nitki i zrywał niektóre, ale nasza mama była szybsza od wiatru. Na miejsce każdej zerwanej — przybywały trzy nowe. Wkrótce dach dzwonnicy zaczerwiecił się, bo czerwona, mocna siateczka pokrywała go coraz gęściej i gęściej.

Nagle zabrakło nici. Lecz oto, trąbiąc, nadjechał ze sklepu samochód pełen zielonych, żółtych i niebieskich motków tej samej włóczki.

Niedługo kolorowa pajęczynka okrywała całą dzwonnice aż do dołu, przytrzymywała obluźwane dachówki. Wtedy pięciu panów pobiegło pod dzwonnice i przywiązało końce nitek do ciężkich belek leżących na ziemi.

Mama odłożyła druty.

— Uff — powiedziała rozcierając zmęczone palce. — Zajęłam kiedyś pierwsze miejsce w konkursie robienia na drutach. Ale nigdy dotąd nie zrobiłam tak dużego kapturka!

Wiatr wiał jeszcze do samego wieczora, a w nocy lunął ulewny deszcz. Lecz kolorowy kapturek trzymał mocno dzwonnice i nie pozwolił się jej zawalić.

Następnego dnia świeciło piękne słońce. A rano obudziło nas stukanie młotków — bo właśnie zaczął się remont dzwonnicy.

CZAR DLA MAMY

Od rana do wieczora gospodarowaliśmy w kuchni, a mama odpoczywała. Były to jej imieniny, a u nas w dodatku jest taki zwyczaj, że tego dnia mama nie może nawet dotknąć się żadnej roboty.

Usiedliśmy do kolacji przy odświętnie nakrytym stole. Czekaliśmy na tatę, który znów na kilka dni wyjechał i właśnie dziś wieczorem miał wrócić. Opowiadaliśmy sobie różne historie.

Najwięcej mówił, jak zawsze, nasz najstarszy brat. Wyczytywał on z gazet wszystko o nowych wynalazkach i maszynach, a potem opowiadał nam to.

— Czy słyszeliście o poduszkowcach? — zapytał.

Nie słyszeliśmy o tym nigdy, więc nasz najstarszy brat opowiedział nam o nowych latających pojazdach, które tak właśnie się nazywają.

Naszej mamie najbardziej podobało się to, że poduszkowce latają nisko nad ziemią, nie tak jak samoloty.

— Wyobrażacie sobie? Tę dopiero było przyjemnie przelecieć się nad samym miastem w taki piękny wieczór jak dzisiejszy! Zobaczyć je z góry, jakby się było gołębiem lub jaskółką! Chciałabym, żeby nam się coś takiego zdarzyło. Nie musiałby to nawet być poduszkowiec, wystarczyłaby zwykła poduszka!

W tej samej chwili, gdy mama wypowiedziała to życzenie, nasz tapczan jęknął, stęknął. Wieko podniosło się. Wskoczyły z niego po kolei nasze poduszki i zawisły w powietrzu.

— Szalona okazja! — ucieszyła się mama. — Widać to jakiś prezent imieninowy dla mnie. Siadajmy!

Lecz nim wdrapaliśmy się na poduszki, w drzwiach stanął tata. A trzeba powiedzieć, że nasz tata nigdy nie przepadał specjalnie za czarami.

— Co tu się dzieje? — zawołał. — Co znowu wyrabiacie?

— Wybieramy się na spacer! — krzyknął nasz najmłodszy brat. — Siadaj z nami!

— O, nie! Macie coraz bardziej szalone pomysły! Co powiedzą ludzie, gdy zobaczą cię, Marysiu, fruwającą nad rynkiem?

Tymczasem z tapczana wyskoczyła już piąta poduszka i leciała prosto na tatę.

— Nic z tego! — powiedział tata. — Zresztą będzie mi potem dokuczał reumatyzm, jak mnie za bardzo przewieje. Lećcie sobie sami, skoro już musicie.

Cztery nasze poduszki, gdyśmy tylko na nich siedli, wypłynęły przez okno na dwór. Wymyśliłyśmy krzaki jaśminu, kwitnące w ogródku, i zaczęłyśmy wznosić się do góry.

Gdy byliśmy na wysokości czubków topoli, coś nagle zafurczało za nami. To doganiał nas tatuś na swojej poduszce.

— Niech tam, ja z wami! Przecież dziś imieniny mamy!

I dalej poleciliśmy już wszyscy.

Naokoło była ciemna, ciepła, pachnąca noc. Poszewki i falbanki furkotały na wietrze, tak jakby każda poduszka miała swój motorek. Tuż, tuż pod nami migotało światłkami nasze miasto. Widać było w mroku domy, dzwonnice, park, naokoło — pola, a dalej czarne plamy lasów.

— Patrzcie, dopiero teraz widać, że mieszkamy naprawdę w małym miasteczku — powiedziała mama.

— Patrzcie, tymi poduszkami można sterować! — zawołał tata. — Kiedy rozpinam marynarkę, wiatr stawia większy opór i leci się wolniej. Kiedy zapinam — to szybciej!

Zaczęliśmy wszyscy próbować. W ten sposób okrążyliśmy rynek.

— Uwaga! — krzyknął tata. — Musimy już wracać! Poduszki opadają!

Rzeczywiście nasze pojazdy opuszczały się coraz niżej. Ledwo, ledwo udało nam się dojechać na nich do ogródka. Dotykaliśmy nogami ziemi.

Potem musieliśmy już wziąć poduszki pod pachę i wejść z nimi po schodach.

— Nic nie szkodzi! — rzekł tata do mamy. — Uważam, że była to całkiem niezła przejażdżka. Udał ci się, Marysiu, ten czar!

— Kiedy to nie ja czarowałam! — sprzeciwiła się mama. — Ja się nie znam na takich wynalazkach. Całą drogę właśnie zastanawiam się, kto to?

Mama przyjrzała się nam po kolei.

— No, który i jak to zrobił? — zapytała, jak wtedy, gdyśmy coś przeskrobali.

— Ja — przyznał się nasz najstarszy brat. — Pamiętacie baloniki, które kupowaliśmy na defiladzie? Te, co same leciały do góry? Wypuściłem z nich gaz i napompowałem nim poduszki. Tylko za bardzo się śpieszyłem, nie zaszyłem dobrze poduszek i dlatego gaz zbyt wcześnie uciekł. Chciałem zdążyć przed powrotem taty, ale mi się nie udało.

— Właśnie, że ci się udało — powiedziała mama. — Nie widzisz, że tata nareszcie przekonał się do naszych czarów?

Ten utwór jest udostępniony na licencji Licencja Wolnej Sztuki 1.3.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/papuzińska-nasza-mama-czarodziejka>

Tekst opracowany na podstawie: Joanna Papuzińska, *Nasza mama czarodziejka*, Wydawnictwo Literatura, Warszawa 2020.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Aleksandra Sekuła.

Okładka na podstawie: Spectrum Textures@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-5903-6

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.